



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

KONKURS.

DLA MŁODZIEŻY OD LAT 12-tu DO 15-tu.

Rozmaicie określają ludzie pojęcie szczęścia w życiu, a każdy podług tego, czego najwięcej dla siebie pragnie. Wszyscy jednakże zgadzają się na jedno: że życzliwość i przyjaźń ludzka, przyczynia się bardzo do uszczęśliwienia człowieka; że bywa często szczęściem w nieszczęściu — a jak wielkiem ona dobrem być musi, najlepszym dowodem jest to, że modlimy się nawet o nią. Jedni mają więcej, drudzy mniej zdolności do zdobycia sobie tego dobra, a są i tacy, co wcale tego nie potrafią. Nie chcemy wątpić, że czytelnicy nasi umieją to wszyscy, ale chcielibyśmy dowodniejsię o tem przekonać; ogłaszamy przeto zadanie konkursowe do wypracowań:

Jak zaskarbić sobie miłość ludzką?

Za pracę najlepszą równie jak za cztery następne lepsze od innych, przeznaczymy nagrody z wyborowych arcydzieł poezji.

Warunki zachowują się te same co przy poprzednich konkursach: to jest wymienić należy obok pseudonimu prawdziwe nazwisko, lata piszącego i dokładny adres na przyszłych wypracowaniach.

Jako ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych, naznaczamy dzień 31 Marca.

Redakcja.

JASEŁKA.

przez Sewerynę Duchyńską.



becnie cały Paryż zachwyca się oprześcicznymi jasełkami w jednym z teatrów miejscowych, pod tytułem: Boże Narodzenie — autorem poematu jest utalentowany pisarz Maurycy Bouchor. Role odgrywają nie osoby żyjące, lecz marynetki czyli lalki wykonane z prawdziwym artystyzmem. Jasełka te składają się z czterech obrazów. Pierwszy przedstawia stajenkę w Betleem. Wół i osieł, którym głosy anielskie rozwiązały języki, rozmawiają z sobą.

OSIEŁ.

Wielkiej radości pełne niebiosa,
Wesele ziemię ogarnia całą,
Przyroda mówi cudnymi głosi;
Czyżby mi dzisiaj milczeć przystało,
Gdy Ten, którego cudem świat stoi,
Dziś się narodził w stajence mojej?

WÓŁ.

Jakaż to światłość w oczy mi błyska?
Wszystko co żyje, głosi wieść pewną!
Skaczymy, śpiewajmy, godzina bliska...
Mamże stać martwy, niemy jak drewno,
Kiedy król niebios, pan nasz, w tej dobie
W moim ubogim zrodził się żłobie?

OSIEŁ.

Bracie, gdyś czasem stał zamyślony,
Jam swym obrokiem paś się do syta;
Gdyś zmrużył oczy, jam pił spragniony
Kryniczną wodę z twego koryta
Proszę cię w imię Bożej Dziewicy,
Pocziwy wołku, odpuść mi winy!

WÓŁ.

Bracie, jeżeli stroilem żarty
 Z ucha, co tobie u czoła sterczy,
 Jeśli twój poryk nazbyt zażarty
 Obudził nieraz śmiech mój szydery,
 Przebacz, osielku, skoro w tój chwili
 Boże dzieciątko w żłobie zakwili.

Nadchodzi pijany gospodarz, z ust jego sypią się klątwy i grubiańskie słowa; bydłęta znoszą je z pokorą. Święty Józef kołace do drzwi, prosi o nocny przytułek; wół i osiel wstawiają się za nim... Zdziwiony gospodarz waha się; wtem zabrzmiały w powietrzu jakieś cudowne dźwięki. Pijak wytrzeźwiony z obłędu, poruszony głęboko, przyjmuje podróży do stajenki.

Drugi obraz ukazuje nam grono pasterzy. Stary Faragoul — to prawdziwy typ kmiecy, pełny prostoty i poczciwości. Bartłomiej przeciwnie, samolub, twardy jak głaz, chciwy zysku, dręczy bez litości syna Mirtyła, który chciał poślubić ubogą sierotę Maryolanę. Kiedy starzec zżyma się i piorunuje, kiedy Faragoul, Mirtyl i Maryolanka słuchają słowika, głoszącego w zaroślach słodka wieść, nagle daje się słyszeć u wrót cudny śpiew Archanioła Gabryela; ojciec i syn wychodzą z domu. Z razu Bartłomiej szydzi ze słów anielskich, ale pomału serce jego topnieje niby wosk na słońcu. Mirtyl uszczęśliwiony, ojciec bowiem zezwala na związek z ubogą pasterką; ale oboje zachwyceni pieśnią anielską, uczeni w sercu radość, jakiej świat dać nie może; wobec niej zapomnieli o sobie.

MIRTYL.

Jak ptaszynie miłe gniazdko z mchu i trawki polnej,
 Jak cień miły żniwiarzowi po pracy mozolnej,
 Jak jagnięciu miłe mleko, gdy macierz niem poi,
 Tak mnie miłe gładkie lica Maryolanki mojej.
 Ale miłsze mi nad wszystko to cudowne Dziecię,
 Co mir Boży i wesele rozsieje po świecie.

MARYOLANKA.

Jam szczęśliwa, myśl się płacze w mojej biednej głowie,
 Ze skrzyptkami wnet przybiegną do chaty družbowie;
 Druchny przypną mi nad czołem wianek z rutki świeżej,
 Lecz gdy wspomnę o Dzieciątku, co na sianku leży,
 Tak mi jakoś błogo w sercu, tak mi w duszy jasno:
 Stokroć wolę szczęście wszystkich, niż mą dołą własną!

Chór niewidzialnych aniołów powołuje pasterzy; wszyscy rano pośpieszają do Betleemu.

W trzecim obrazie księżyc słabo oświeca pustą przestrzeń. Trzej królowie za śladem gwiazdy przybyli w okolice Betleemu; ale gwiazda zagasła, nim dobiegli do mety. Dwaj królowie chaldejski i indyjski, żalą się rozpaczliwie, tylko czarny król Negrów nie utracił otuchy. W prostej duszy jego wiara silniejsza; upośledzony dotąd potomek Chama, żarliwiej oczekuje zbawcy niż jego szczęśliwi towarzysze. Pocięsza ich, zapewnia, że jeśli Bóg zagasił gwiazdę, to dla tego, by doświadczyć ich wiary; on nie wątpi, że przewodnie światło wybieży znów z pomroki.

Jakoż błysnęła niebawem cudowna ta gwiazda, wśród niej migocę główka dziewczca, otoczona wieńcem promieni: „Witajcież mi, królowie! — śpiewa słodko:—dalej za mną, meta już niedaleka.”

Królowie śpieszą w drogę, ciągnie za nimi długi orszak: idą słonie i wielbłądy, żyrafy, zebry i strusie. Dopatrzył się tego z daleka pasterz Faragoul i prostemi słowy opowiada wspaniały pochod:

W cwał znanymi pędzą tory,
 W piersi ledwie tchu mi stało;
 Tłum zalega przestrzeń całą,
 Widzę straszne tam potwory,
 Niestworzone dziwy w świecie:
 U tych wielki garb na grzbiecie,
 Tam oślisko jakies duże,
 Czarnych pęgów moc na skórze;
 Gdzie rzuć okiem, cudów tyle!
 Tu, nad inne zwierz wysoki
 Głową sięga pod obłoki,

Z palmy szczytu je daktyle...
 Tam znów góra: spojrzuj lepiej,
 A zobaczysz dwoje ślepi,
 Nos jak trąba, wciąż nim kręci.
 Ej! nie wyjdą mi z pamięci
 Te przeróżne dziwowiska,
 Co się zbiegły tu ze świata!
 Będzie o czem długie lata
 Gwarzyć zimą u ogniska.

Czwarty obraz: adoracya. W głębi stajenki, tuż przy żłobku, siedzi Najświętsza Panna, trzymając na łonie uśpione Dzieciątko. Święty Józef czuwa po lewej stronie, z lilią w rękę; wół i osiel stoją po prawej. Bartłomiej, Mirtyl i Maryolanka składają skromne dary: kołacz z białej mąki, baranki, parę synogarlic; następnie król indyjski rozszewra złoto pod stopy królowi Nazareńskiemu; król chaldejski przynosi temu, który ma cierpieć i umrzeć, wonną myrrę na pogrzeb; król Negrów ofiaruje kadzidło Bożemu Dzieciątku, z pokorą przemawia do Maryi, błaga jej pośrednictwa. Każdy z królów tłómaczy znaczenie swęj ofiary. Najświętsza Panna coraz nową, coraz rzewniejszą zwrotką kołysze śpiącą Dziecinę. Gdy król chaldejski wspominał o krzyżu, pieśń matki tchnie najwyższą boleścią:

Jezu mój, Jezu! Baranku mój miły!
 Straszne to słowa... O! jakże się trwożę!
 Mieczem boleści me serce przeszyły...
 Jezu, mój Panie! mój Boże!

A gdy król złożył myrrę, godło pogrzebu, Marya przysłania głowę Dzieciątka, by nie słyszało smutnej wróżby, i śpiewa zwrotkę żalną:

Jeśli Ty umrzesz dla zbawienia ludzi,
 Jeśli pod krzyżem łzy matki popłyną,
 Niech, wieść żalną ze snu Cię nie budzi...
 Śpij jeszcze, śpij mi, dziecino!

Wszystkie działy sztuki zbiegły się razem i niepojęty urok rzuciły na całe widowisko. Rzewną muzykę, pełną prostoty, ułożył kompozytor Vidal, dekoracye malował Lerolle, niepospolity malarz scen biblijnych; figury wykonane artystycznie, przybrane odpowiednio do czasu, według wskazówek uczonych archeologów, cudnie się przedstawiają, opromienione światłem elektrycznym. Dodajmy tu jeszcze rzewny śpiew młodej artystki i wiersz pięknie wypowiedziany przez zakulisowych aktorów, wszystko to składa całość pełną uroku i harmonii.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska

Różany gaj d. 18 Sierpnia 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

eżeli wypadki nadal będą postępowały tak szybko po sobie, jak dotąd, to obawiam się że nie nadążę ich spisywać. Wczoraj wypisałem list do Warszawy, a dziś już nowy pisać muszę — wiele bowiem pięknych a nowych zupełnie dla mnie rzeczy widziałem, wielu wrażeń doznałem, miałem nawet przygodę, całkiem niespodziewaną.

Zacznę od wynurzenia żalu: mój przyjaciel Viola zażartował sobie ze mnie, jak się o tem dowiedziałem przypadkiem. Wczoraj z rana znajdowałem się w przed-sionku pałacowym czekając na wezwanie królewicza, gdy paź królewiczowej, Orchis, wszedł z dużym koszem misternie uplecionym ze złoconej trzciny,



Kosaciec, Iris.

w kształcie rogu obfitości. Znajdowały się w tym koszu róże, niezapominajki, konwalie, goździki, fiołki i rzadkie rośliny południowych krajów, nieznanne mi nawet z nazwiska. Chłopiec powitał mię uprzejmie i wyjąwszy z koszyka wiązkę fiołków, podał mi ją mówiąc:

— Podobno lubisz bardzo te kwiaty Janku? niechże ci służą.

— Dziękuję ci — odrzekłem, nie biorąc kwiatów — lubiłem, ale już nie lubię.

— A to dla czego?

— Straciłem dla nich sympatyę od chwili, gdy dowiedziałem się, że korzeń z tej rośliny dawano mi do gryzienia, zanim mi zęby wyrosły. Pojmujesz, że nie bardzo jest przyjemnie, gdy mężczyźni przypominają się takie rzeczy z jego lat dziecińczych; nie mogę teraz patrzeć na fiołki, żebym zaraz nie wyobrażał sobie, że chodzę w śliniczku, z korzeniem fiołkowym uwiązany na szyi.

Orchis parsknął śmiechem.

— Któż ci to napłótl tych niedorzeczności? — zapytał!

— Kto! mój przyjaciel, Viola.

— O! Viola jest wielki filut i nigdy napewno wiedzieć nie można, czy mówi prawdę, czy żartuje. Wiedzę o tem, że fiołek nie ma nic wspólnego z korzeniem fiołkowym, którego dostarcza *Kosaciec florencki*, *Iris florentina*. Irysy niemieckie musisz znać, bo niema prawie ogrodu w Europie, gdzieby ich nie hodowano dla pięknych, fioletowych kwiatów; florencki jest do nich podobny, a korzeń jego ma zapach zbliżony do zapachu fiołka, więc używany jest do perfum i daje się dzieciom do gryzienia.

Zagotowało się we mnie z oburzenia.

— Ach, ten Viola! — zawołałem — a ja mu tak wierzyłem! Więc może żartem było także, że kwiaty bratków mają własności lecznicze?

— Nie, to już czysta prawda. Jakże, weźmiesz teraz ten bukciecik?

— Wezmę... ale powiedz mi gdzie niesiesz te kwiaty?

— Do księżnej Primuli, żeby wybrała jeden, który jej się dziś najwięcej spodoba, bo to będzie wskazówką dla dworu, jak ma się przystroić. Od czasu przybycia księżnej do Różanego gaju, monarchini nasza ustąpiła jej berło mody, a ja codziennie chodzę do niej po rozkazy.

— Janku! Janku! — wołał Viola, wpadając rozpromieniony — szukam cię po całym pałacu: chodź prędko! W sali powojów dwór ogląda przywiezione przez księżną podarki. Jest między nimi coś przedziwnego, coś cudownego, mówię ci: przyrząd pokazujący dokładnie jak trawa rośnie!

Zmierzyłem go zimnym wzrokiem i nie ruszyłem się z miejsca. Viola zdumiał się.

— Co to jest Janku? — zapytał — co to znaczy? Jak ty na mnie patrzysz! Czy się o co gniewasz? Orchis, może ty wiesz co jest Jankowi! O co on się gniewa?

Wyciągnąłem ku niemu rękę z fiołkami, mówiąc surowo.

— Przyrząd pokazujący jak trawa rośnie, jest niezawodnie taką samą prawdą, jak że z tych kwiatów otrzymuje się korzeń fiołkowy. Wstydź się, Viola! ja ci tak wierzyłem, a ty umyślnie wprowadziłeś mnie w błąd.

— Ależ Janku kochany — przemówił zaczerwieniwszy się — prawda żem tak powiedział, ale byłem pewny żeś się poznał na moim żarcie. Bo czy mogłeś przypuścić naprawdę, że gruby korzeń fiołkowy jest wytworem włóknistych, drobnych korzonków fiołka? Ja sądzę że usiłując teraz we mnie wmówić żeś temu wierzył, żartujesz chyba tylko.

Teraz z kolei ja się zawstydzilem. Jak mogłem być tak łatwowiernym i przyjąć żart za prawdę; toż dziecko małe poznałoby się na nim, a cóż dopiero mężczyzna w moim wieku... Co te chłopcy pomyślą sobie o mnie, o nas Polakach? Pomyślałem, że brak nam zdolności do zastanawiania się, że każdy może w nas wmówić co chce, że jednym słowem, jesteśmy ciemni...! Będzie to dla mnie przestrożą nadal, żebym słuchając, nie tylko zmysł słuchu miał nateżony, ale i rozwagę. Czyż naprzykład może być prawdą, żeby istniał przyrząd pozwalający widzieć jak trawa rośnie? Nie, to także żart. Bóg

tylko jeden takie tajemne rzeczy, ukryte przed wzrokiem ludzkim, widzieć może.

Viola zauważył mój smutek; rzucił mi się na szyję, ścisnął mnie, całował, przeproszał i widziałem tak szczery żal w jego oczach za sprawioną mi przykrość, iż musiałem przebaczyć temu kochanemu figlarzowi. Prosił mnie żeby iść prędko zobaczyć cudowny przyrząd, bo Orchis nie czekając na nas, pobiegł już tam ze swoim rogiem obfitości. Wahałem się jeszcze czy mam mu wierzyć, gdy z sali powojów, do której wiodły drzwi wprost z przedsionka, doleciał nas okrzyk zachwyty i zdumienia zarazem.

— Aaaaa...!

Nie mogłem dłużej wytrzymać i pobiegłem za Violą. Sala literalnie zapełniona była tłumem ciekawych: znajdował się tam cały dwór, a wszyscy usiłowali być jak najbliżej stołu okrytego purpurą, na środku którego stał przyrząd metalowy ze wskazówką posuwającą się po łuku i wazonik z jakąś wążką, trawistą roślinką. Wspiąłem się i ja na palce, żeby coś widzieć, a hrabia Lilium Martagon znajdujący się tam także, zrobił mi miejsce przy sobie i objaśnił, że roślinka wzrastająca połączona jest ze wskazówką przyrządu, pokazującą wzrost rośliny, co prawda, pięćdziesiąt razy szybszy niż jest w istocie, a to dla tego żeby ruch wskazówki ciągle się posuwającej, widocznym był dla oka. Dodał też, że Zielonko bardzo podarkiem ucieszony, nie poprzestając na tem, że mógł widzieć jak trawa rośnie, chciał to koniecznie jeszcze styszeć; rozkazał więc nadwornemu mechanikowi, żeby tę wskazówkę i łuk po stopniach którego się posuwa, połączył z dzwonkiem elektrycznym. Strumień w miejscach podziałek przerywanym będzie, otrzymamy przeto dzwonienie w miarę posuwania się wskazówki, czyli *usłyszemy* jak trawa rośnie.

Mechanik, człowiek młody, pochylony był właśnie nad przyrządem, jakby coś do niego przyczepiał, a w sali panowała taka cisza pełna oczekiwania, że można było słyszeć przelatującą muchę. Po chwili wyprostował się mechanik, spojrzął po obecnych, jakby ich wzywał do baczności, dotknął ręką jakiegoś punktu w przyrządzie i zabrzmiało głośne dzwonienie, które powołał najprzód szmer uwielbienia, a potem burza oklasków. Wszyscy wieszowali księżnie że wpadła na świetny pomysł obdarowania brata, tak cudownym niemal przyrządem, ułatwiając mu podsłuchiwanie tajemnic życia roślin. Sam Zielonko i Jagódka promienieli radością. Dopytywano się powszechnie kto ów misterny przyrząd wymyślił i na ustach każdego było imię Edissona — ale księżna wyprowadziła zgadywających z błędu: Wynalazcami są dwaj panowie, Thomas i Lügel, którzy wynalazek swój, lat temu kilka, przedstawili poraz pierwszy na zgromadzeniu botanicznego Towarzystwa szląckiego.

Dawniej obijało mi się nieraz o uszy, że gdy chciano określić czyjś spryt złośliwy, chytrą przebiegłość, mówiono o nim że „słyszysz jak trawa rośnie”. Nie zalecałem się nigdy podobnemi przymiotami, więc nawet żartem nie przypuszczałem, że będę kiedyś nie tylko słyszał ale widział wzrost trawy. Do jakich też to wynalazków ludzie dziś dochodzą, mój Boże! Jakaby to była oryginalna muzyka i jaka sposobność porównania wzrostu roślin, gdyby tak nie jeden, ale kilkanaście przyrządów w ogrodzie ustawić! Pokazało się bowiem przy stosowaniu przyrządu do różnych roślin, że kiedy jedne zale dwie się ruszają, inne posuwają się szybko do góry, a inne jeszcze w porównaniu z tamtymi pędzą galopem. Kapitan Tamarix mówił mi przecież w lesie, że u niektórych grzybów przybywa po dwa tysiące komórek na godzinę, a u innych przybytek ten liczyć można na miliony. Gdyby do każdej rośliny przyrząd przyczepić, dopieroby to było granie, no! Co to za rozmaitość istnieje w naturze! Toć roślin jest miliardy... a jednak Bóg wie o każdej, nad każdą czuwa, każdej daje co jest jej potrzebne, słońce czy cień, suszę czy wilgoć. A jeżeli On wie o każdej najlichszy nawet trawce, to czuwa także i nademną biednym sierotą i wie, że choć mi los szczęśliwszy niż wielu innym chłopcom przypadł w udziale, nie może mi być dobrze na świecie, od czasu jak mi zabrał mateczkę...

Ktoś mnie potrafił — usunąłem się; było Orchis prze-

ciskający się przez tłum dworzan ze swoim rogiem obfitości i zmierzający prosto do księżnej Primuli, która rozmawiała właśnie w tej chwili z jenerałem Papaverem, wielkim wodzem małej armii królewicza Zielonki. Siwy ten, choć jeszcze prosto trzymający się starszek, służył podobno wprzód w armii króla Bożydara, był osobistym przyjacielem tego monarchy i wszystkie jego dzieci na rękach piastował. Lubili go też i szanowali wszyscy bardzo, a księżna wyróżniała go przy każdej sposobności. Gdy Orchis zbliżył się do niej z prośbą, aby raczyła wybrać znak honorowy dla dworu na ten dzień, księżna spojrzała figlarnie na jenerała i jeła żywo przebierać kwiaty w koszyku, a wydobywszy piękny purpurowy mak, przypięła go do mundur starca, mówiąc serdecznie:

— Kochany jenerale, wiem że syt jesteś wawrzynów i orderów, ale nigdy zapewne nie miałeś czasu zbierać kwiatów ani się w nie stroić. Pozwól, że ja to uczynię i zamianuję cię na dzisiaj moim rycerzem!

Mak po łacinie zowie się *Papaver*, była to więc chęć uczczenia jenerała. Wnet rozbiegli się paziowie z rozkazami do ogrodników i jubilerów, a w godzinę potem, wszędzie gdzie rzuciłem okiem, jaśniały maki: zwykle polne i wspaniałe ogrodowe, białe i blade lila, czerwone, żółte i pomarańczowo nakrapiane. I ja dostałem kilka kwiatów makowych i gdy je trzymałem w ręku, przypomniały mi się nasze łany zbożowe, gdzie jest tak wiele maków, bławatków i kakułu, i wydało mi się że mnie tamtejsze powietrze owiewa, że słyszę granie na fujarce i nawoływania pastuszków... Pięknie jest na Atlantycie, bardzo pięknie, ale nie chciałbym tu być całe życie. Na swojej ziemi zawsze jest miłej, chociażby tylko chleb czarny i chwasty rodzija.



Mak polny.

— Dojakiiej też mak może należeć rodziny?—myślałem, patrząc na kwiaty. — Czy do krzyżowych? Takby się zdawało, bo ma tylko cztery płatki w koronie. Ale nie, to być nie może! Krzyżowe mają po sześć pręcików, a tu jest ich bardzo dużo, tak dużo, że nie mogłem ich nawet policzyć otaczających okrągłą makówkę i rozrzuconych dokoła promienisto, niby wstążeczki. Znałem dobrze ten kształt, bo z makówek przekwitłego maku w Dębowej Woli, wytrząsałem nieraz czarne i białe ziarneczka, będące moim ulubionym przysmakiem, a stryjenka kazała wyłaczać z nich olej, na którym smażono ryby, wybornie nam chłopcom w poście smakowały. Wiedziałem też już wtedy, że biały sok wypływa-

jący z nacięcia niedojrzałych makówek, posiada własności usypiające, a jest używany w celach leczniczych jako opium—i dla zabawy robiłem nieraz nacięcia scyzorykiem, bo mnie to bawiło, że sok na powietrzu tężał i przybierał barwę małych, brunatnych bryłek. Kobiety wiejskie idąc w pole, kładły często dzieciom makówki pod głowę, żeby spały, lub dawały im pić odwar makowy, o co stryjenka zawsze bardzo się gniewała, bo to jest środek szkodliwie na mózg działający.

Ale wówczas dbałem tylko o ziarneczka maku, nie zwracając uwagi na kształt rośliny — a dziś nie myślałem o ziarnkach, tylko szukałem oznak mogących mnie wprowadzić na ślad rodziny. I o dziwy! nie znalazłem jednej rzeczy, bez której sądziłem że się żaden kwiat nie obywa — kielicha! Patrzyłem i szukałem pod koroną — ani śladu! a ta część właśnie w kwiatkach zachwycała mnie najwięcej, owa czara, w której zamiast wina błyszczały barwy, czara podkrzymująca koronę, z której, jak ludzkie wino, owady pijały słodkie nektary. Brak tej podstawy wydał mi się tak dziwnym, jak gdybym widział wino bez czary. Ale spostrzegłem, że obok maku przypięto mi do czapki jeszcze drugi kwiat, który chyba należeć musi do tej samej rodziny, bo inaczej nie znalazłby się tu dziś obok maku. Roślina miała koronę czteropłatkową, żółtą i podobna była do lewkonii, ale chyba równie jak mak nie mogła należeć do rodziny krzyżowych, bo także pręcików miała bardzo wiele i pozbawioną była kielicha. Hm, widocznie kształt czary nie przypadł do gustu księżnej Primuli i dla tego wybrała kwiat bez kielicha. Pamiętałem że w czasie uczy przy posągu Bożydara, choć sama wzniosła toast na cześć wynalazcy mikroskopu, nie przełknęła ani kropli wina i zaledwie brzegów czary dotknęła ustami.

Tu zdarzyło się to, o czym mówi nasze polskie przysłowie: „o wilku mowa, a wilk tuż”. — Jęj książęca mość przechodziła właśnie przez komnatę w której się znajdowałem, cała strojna w różnobarwne maki, ładnie odbijające od jęj lekkiej zielonej sukni. Wyglądała jak bujna ukwiecona łąka. Spostrzegła mnie i przemówiła łaskawie.

— Nad czym tak dumasz paziu? Czy nie podoba ci się kwiat który wybrałam?

— Owszem, Wasza książęca mości, kwiat maku podoba mi się bardzo, tylko się dziwię że się obywa bez jednej bardzo ważnej rzeczy, bez kielicha.

Księżna zdziwiła się.

— Brak mu kielicha? Chłopcze! kto ci to powiedział?

— Same maki— odpowiedziałem, pokazując jęj kwiaty. Uśmiechnęła się, i odpiawszy od sukni jeden nie rozwinięty jeszcze pączek, rzekła:

— Zapytaj jeszcze tego kwiatka!

— Kielich! — zawołałem zdumiony.

— Tak jest, kielich, składający się z dwóch połówek i okrywający szczelnie koronę, niby czepek nocny z którego oswobadza się kwiat, gdy się chce rozwinąć, zrzucając go bez ceremonii. Maki znajdujące się w twoich rękach, są kwiatami zupełnie już rozkwitłymi, ukazującymi się w całej krasie; więc jakże chciałeś znaleźć u nich nocne czepek, zbyteczne przy dziennym toalecie?

Uśmiechnąłem się i ja mimowoli na to prawdziwie niewieście porównanie, bo czy nam mężczyznom przysłoby kiedy do głowy upatrywać w kielichu podobieństwa do czepek nocnego!

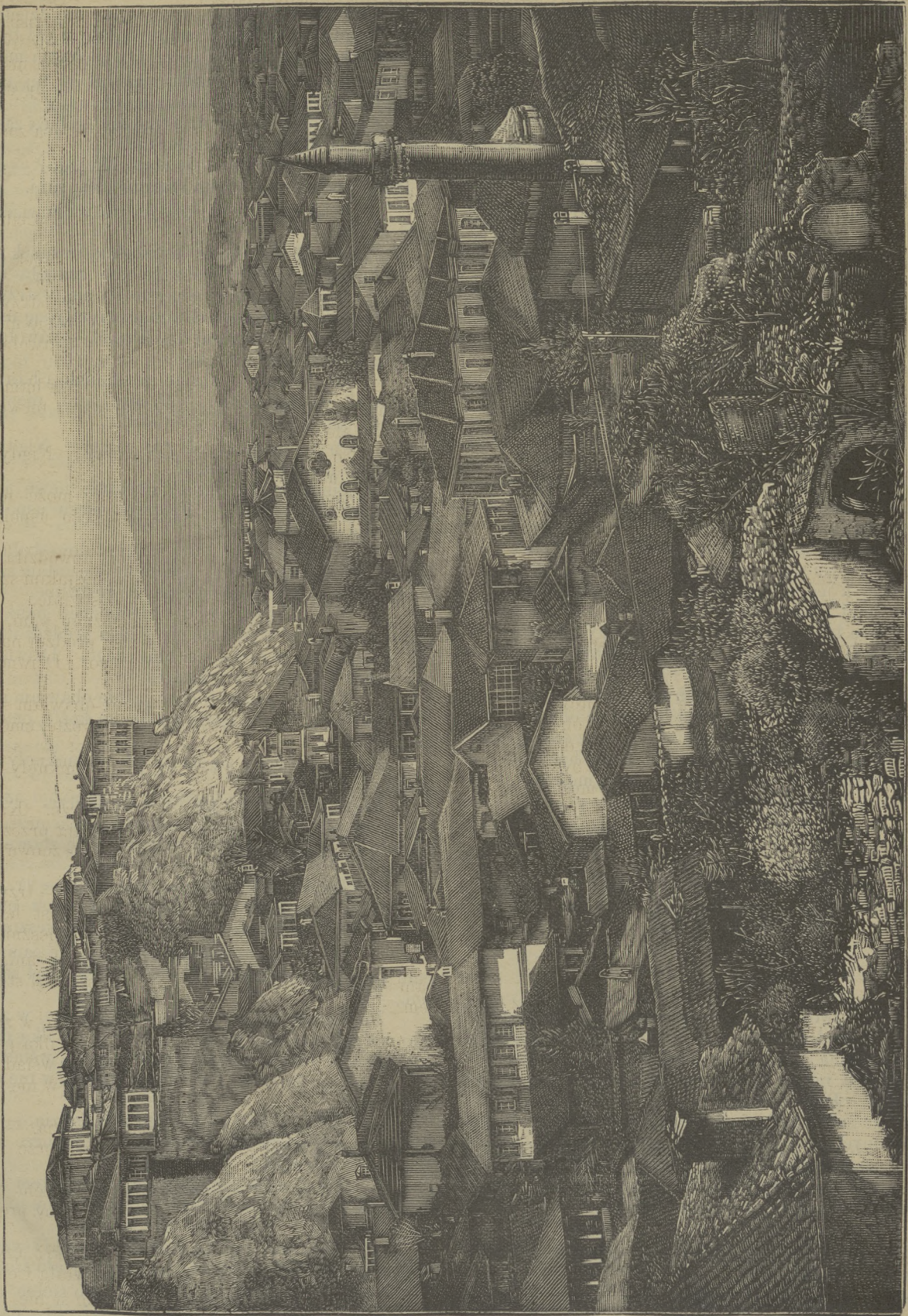
— A czy znasz tę drugą, żółtą roślinkę? — pytała dalej.



Mak ogrodowy.



Pączek maku.



FILIPPO L.

— Nie, to jest, znam ją trochę z nazwiska. W naszym kraju zowią ją *Jaskółczem zielem*.

— Jestto *Glistnik*, po łacinie *Helidonium majus* i równie jak mak należy do rodziny Makowatych, *Papaveraceae*. W obcych krajach, rodzina ta ma licznych członków, ale w umiarkowanym, łagodnym klimacie Atlanty, znajdują się tylko te dwa jej okazy, z wyjątkiem naturalnie hodowanych w ogrodach wiszących, gdzie są nagromadzone wszystkie niemal rośliny świata.

— Roślina ta jednak bardzo jest odmienna od maku — zauważyłem nieśmiało — jajecznik zwykle bywa ważną wskazówką w rozpoznawaniu rodzin roślinnych, a glistnik nie ma takiego pudełeczka do ziarenek z regularnymi w środku przegródkami, jak makówka, tylko mały, wydłużony strączek w którym ziarenka są ułożone.

— Mój paziu — odrzekła księżna — miej sobie za zasadę, kwiatów ani ludzi nie sądzić z pozorów, ale staraj się poznać ich dokładnie. Zapamiętaj sobie, że cechy wyraźne rodziny makowatych, są: *cztery płatki w koronie i liczne pręciki, a kielich opada w chwili gdy korona się rozwija*. Gdy w kwiatach znajduje się więcej niż dwanaście pręcików, botanicy już ich nie rachują i dla oszczędzenia sobie kłopotu, nazywają je poprostu **wielopręcikowemi**.

— Siostrzyczko — rzekł wchodząc do komnaty Zielenko — otrzymałem w tej w chwili od Pióropuszk list, który przeważnie ciebie się dotyczy. Posłuchaj.

„Panie i bracie mój.

Pragnąc uczcić wielce miłą sercu naszemu, ukochaną siostrę Primulę, urządzam w dniu jutrzejszym w Koralowym grodzie turnieje. W szranki wolno będzie wstąpić każdemu, ktokolwiek zechce próbować zręczności i szczęścia. Po turniejach będą tańce, a jedna z sal balowych oświetloną zostanie żywymi pochodniami; że zaś Ty miły Bracie i Primula lubicie nadewszystko kwiaty, przeto zapewniam Was, że ich na uroczystości nie zabraknie, a nawet wieńce z kwiatów i bukiety, stanowić będą, obok innych kosztownych przedmiotów, nagrody dla zwycięzców. Racz miły Bracie obecnością swoją zaszczyścić tę uroczystość, wraz z dostojną małżonką i całym dworem, i zechciej być tłumaczem moich uczuć przed Jej książęcą mością.

Sercem miłujący brat

Pióropuszek.

(d. c. n.)

KULIG.

(Dalszy ciąg).

Skoro tylko czwórka z saniami wybiegła za wieś, przed oczyma jadących rozłożyła się przestrzeń śnieżysta, zamknięta zdala ciasną ścianą lasu. Na ziemi z każdą chwilą zwiększały się mroki, na niebie zato z każdą minutą rozpalaly się gwiazdy po kolei. Pod noc mroź brał cięższy, konie też biegły chyżo, parszając rażno pod wiatr. Gdy wjechało pod sklepienie lasu, podróżnych naszych otoczyła gruba ciemność. Księżyc nie świecił jeszcze pod tę porę, drogę znaczył tylko długi, białawy pas jasności, przerywaną czarną gęstwinę. W cieniu boru rozlegał się donośny brzęk dzwonek przy uprzęży i parskanie karoszy.

— Wio! wio! — huknął Michał, od czasu do czasu paląc z bata koniom na ochotę.

W głębi sanek otulona w futro pani Ilska, okrywała troskliwie szalem, dwie wychylające się z pod chustek i kocy śmiejące się twarze swych córek.

— Nie zimno wam, dzieci? — zapytywała co chwila.

— Ach, ciepło nam, ciepło, ciepłutko! — szczebiotały dziewczęta, ustawicznie wychylając główki.

— Nie rozkrywajcie się, moje drogie. Pamiętajcie, że do Psar dobre półtoręj mili i doskonale możecie zmarznąć.

— Ja mateczko, bardzo lubię jechać nocą przez las sankami. Tak tu cicho, jakby bory drzemały, echo tylko naszych dzwonek idzie knieją daleko! daleko! — rozglądając się dokoła, mówiła Celinka.

— Ja bo też lubię jeździć, tylko nie dzisiaj — odpowiadała Wandzia. — W tej chwili wolałabym już być w Psarach, pić herbatę z pączkami i tańczyć w pięknym moim kostiumie.

— Hooo! — przeciągle zawołał w tej chwili Michał, ściągając lejce. — Co ty kara? hoo hoo...!

Zaprzężona w przodzie młoda źrebica zastrzygła uszami, rzucając się w bok gwałtownie.

— Co to jest?! co się stało Michale? — krzyknęła pani Ilska, przerażona silnym szarpnięciem sani.

— A to strachły się bestye, same nie wiedzą czego — odparł woźnica.

Przerwał mu nowe wstrząśnięcie sanek tak raptowne, że Wandzia o mało z siedzenia nie zsunęła się na drogę. Przednie konie wspinając się, rzucały się, wstrzymywane silną ręką stangreta, dyszlowe chrapiąc, kręciły się niespokojnie.

— Michale, trzymaj na Boga! — zawołała pani Ilska, chwytając Wandzię za rękę.

— Hoo! hoo! — stając w saniach i hamując wybryki, uspokajał Michał konie. — Proszę pani, niewiadomo co im się stało, ale chrapią jak na wilka...

— Co ty mówisz! U nas wilki?! Nigdy ich przecież nie było w naszych stronach!

— Zima ciężka, śniegi okrutne, może ich bieda przegnać z inszych okolic. — Folgując nieco uspokojonym karoszem odpowiedział woźnica.

— Ej, skądby się tutaj wzięły! dowodziła pani Ilska. — Konie młode, strachliwe, spłoszyły się jakim szelestem, albo przeraził je zając, przebiegający w gęstwinie.

— Niewiadomo, proszę wielmożnej pani, ale równo lepijby nam było, wydostać się z lasu prędkiej na pola. Ogierek w lejcy nie stracha się lada czego. Dziwno mi, bo i teraz ślania jeszcze uszy i chrapie.

— To jedź prędkiej, choć ja nie obawiam się niczego.

— Haa! — poprawiając się na koźle, cmoknął stangret na konie.

Karosze rzuciły się na przód, i pomknęły knieją, wyciągając się w kłusie.

Przez czas pewien podróż szła dobrze. Karosze spokojnie pomykały drogą, las się kończył, zdala przez drzewa przegłądało pole. Naraz konie szarpnęły się znowu i pognały galopen.

— Jezus! — krzyknęła pani Ilska — trzymaj Michale!

Tym razem przecież Michał zamiast hamować, cmoknął z cicha karoszem, zachęcając je do spieszniejszego biegu.

— Niech panie dobrze trzymają się sani, a wielmożna pani spojrz za siebie na prawo... — szepnął stłumionym głosem.

Po drugiej stronie przydrożnego rowu, w zaroślach świeciło coś jak drobne żarzące się węgle, Kilka par ruchomych tych iskierek sunęło szparko bokiem drogi, wślad za coraz chyżej pędzącymi saniami. Pani Ilska wlepiła w nie oczy, onemiała z trwogi.

— Co to jest?! — zawołała Wandzia. — Co to się tak błyszczą w zaroślach? Przecież w tej porze niema świętojańskich robaczek?

— Cicho, dziecko, na Boga! — szeptem odpowiedziała matka — a ty, Michale, nie żałuj koni, aby prędkiej wydobyć się z lasu.

— Mamusiu, czy to doprawdy wilki? czy to ich ślepie świecą tak w ciemności? — cichutko spytała Celinka.

— Tak, mój skarbie, — tuląc do siebie córki odparła pani Ilska. — Nie mówcie tylko, gdyż głosy nasze rozdrażniłyby tylko bestye, które ściągając nas oddawna, nie ośmielają się jeszcze do nas zbliżyć.

Na saniach zapanowała nagle cisza. Trzymając się siedzenia aby nie wypaść, trzy postacie niewieście tuliły się do

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

siebie, słysząc wzajemnie stuk spieszny niespokojnie bijących serc.

Michał równie milczący, nie odrywał oczu z błyszczących punktów, które pędząc brzegiem lasu, ani na chwilę nie dawały się wyprzedzić, w szalonym biegu galopującym koniom.

Las tymczasem stawał się coraz rzadszy i w serca podróżnych wstępowała otucha. Wilki za to, spostrzegłszy blisko koniec kniei, zdwoiły natarczywość, w obawie, że łup może im się wymknąć. O ile dotąd biegły nieco z tyłu, o tyle teraz pomykały bokiem, starając się widocznie zabiedz koniom drogę. W miejscach gdzie gęszcze stawały się rzadsze, widać było wyraźnie pięciu napastników biegnących kupą, skaczących przez krzaki, pnie i powalone kłady. Pomiedzy końmi a zgłodniałymi drapieżnikami, rozpoczął się teraz śmiertelny pościg. Wiedzione instynktem karosze, czując, że idzie o życie, leciały naprzód, nie dotykając prawie kopytami ziemi. Spuściwszy się na ich rozum Michał, nie mogąc już powodować rozszalałą czwórka, puścił jej wolno lejce, śledząc bacznie manewra wilków.

— Niech się panie trzymają sani... niech pani nie puści panienek... Boże chowaj nieszczęścia... gdyby która spadła — szepnął urywaniem głosem. — Niedaleczko już pole, a potem już w Bogu nadzieja...

Zakrywszy szalem oczy córkom, pani Iliska szeptała modlitwę.

Jeszcze kilka minut trwogi i las się skończył.

Buchając z nozdrzy parą, spienione karosze wypadły na odkryte pole. U skraju kniei, wilki zatrzymały się nieco, jakby dla narady, poczem puściły się za saniami na nowo, ale znacznie wolniej, trzymając się zdala i obiegając polami ostrożnie. Rozhukana czwórka pędziła dalej jak wichler. Niedługo też przestrzeń pomiędzy goniącymi, a uciekającymi, poczęła się przedłużać, rozciągać, aż wreszcie wilki przystanęwszy w krzaku karłowatego jałowca, zniknęły z oczu podróżnych.

— Bóg łaskaw! — zawołał Michał — nie widać drapieżników.

— Czy tylko nie ukazą się gdzie znowu? — oglądając się z obawą, odparła pani Iliska.

— Ej, nie wielmożna pani! — ochoczo uspokajał woźnica. — Ot, wioska niedaleko... czują bestye dym z chat, to się boją...

Przez pewien czas jeszcze nie hamował biegu koni, z obawy ponownej pogoni. Zdala tymczasem rozległo się naszczekiwanie psów, świadczące, że niebawem ukaże się wioska. Wśród wierzb pochyłych, na tle białego całunu śniegu, zamajaczały kontury krzyża, od którego droga zakręcała w lewo.

— Hoo! — próbując na skręcie zahamować konie, zawołał przeciągle woźnica.

(d. n.)

FILIPOPOL.

Starożytne to miasto, założone wedle podania na 350 lat przed Chrystusem przez Filipa Macedońskiego, było niegdyś najhandlowiejszym punktem zbornym w Turcyi. Droga z Konstantynopola prowadziła tędy do Bulgaryi i Wołoszczyzny ładowne wozy, pełne drogocennych wyrobów wschodnich, które stąd rozchodziły się po całej Europie. Od umiejętnie wyprawnych safianowych skór baranich, aż do przetykanych złotem materyj, cienkich tyftyków i kosztownych różańców, wszystko znaleźć można było w Filipopolskich sklepach. Dziś miasto to liczące jeszcze około 40,000 mieszkańców, rezydencya arcybiskupa greckiego, odznacza się jedynie malowniczym położeniem na stoku wyniosłej góry, przeglądając się w bystrych nurtach rzeki Marycy wspomnianej we wszystkich narodowych pieśniach bulgarskich.

W tej ciszy leśnej, na tle ciemno-zielonej toni rzecznej, wyglądał na monarchę plemienia dzikich, lub na geniusza opiekującego się okolicą swego kraju. Prócz włóczni nie zdawał się mieć innej broni przy sobie, p. Walery kazał więc orszakowi wstrzymać się nieco opodal, a sam z Benitem i kilku Indianami podjechał do brzegu, gdzie po chwili przybiła i łódź Indianina.

Miejscowem narzeczem, które nieźle rozumiał p. Ruciński, opowiadać wtedy zaczął, Indianin że posłyszał w lesie strzały, których jego pokolenie się przełękło, ale on sam, on — wódz plemienia *Lakondonów* — słyszał już o „wielkim wodzu *Bladych twarzy*”, wie zatem, że nie potrzebuje się go obawiać.

— Przybyłem tu jedynie mówić aby wodza *Bladych-twarzy* pozdrowić i ujrzeć *Złotego motyla*, który ma przepłatane słońcem kosy, jakich oczy *Lakondonów* nie widziały nigdy na głowie kobiety.

Ale mówiąc to, rzucał chytre i pożądliwe spojrzenia na obciążone jukami muły, co nie uszło baczności Benita.

— Sam jeden tu jesteś? — pytał p. Walery.

— Pokolenie *Lakondonów* rozпалиło ognie hen! nad rzeką! — odparł, wskazując ręką w stronę, z której przybył.

— Jak wielu was jest?

— Z żonami i dziećmi jest nas dwadzieścioro — i podniósł dwa razy do góry obie ręce, szeroko rozstawiając chude, żółtymi paznogciami zakończone palce.

— Jakże się zowiesz?

— *Dziki-Kot*.

W istocie trudno było wynaleźć właściwszą dla niego nazwę, bo jak kot czaić się zdawał i za każdym ruchem zbierać do skoku, ale że był sam i prawie bezbronny, p. Walery nie widział potrzeby obawiania się go. Na wszelki jednak wypadek, chcąc go sobie ująć, przyjaźnie odezwał się do niego:

— Wódz *Bladych-twarzy* cieszy się z oglądania *Dzkiego-Kota*, wielkiego wodza *Lakondonów*. Wybierając się w drogę, przewidywał spotkanie z nim i ma z sobą coś, co wielkiemu wodzowi i jego pokoleniu przydać się może.

Oczy dzikiego zaiskrzyły się chciwością, przenikliwie obejrzał się w około, jakby chcąc zobaczyć, gdzie się znajduje przedmiot, dla niego przeznaczony. Na znak dany przez p. Walerego, przyniesiono zdjęty z muła wór, z którego wydobyl p. Walery kawałki tkaniny, mogącej służyć na przepaski lub zawoje, kilka nożów i toporków, które z zadowoleniem oglądając począł *Dziki-Kot*, oraz różne inne drobiazgi, przeznaczone dla kobiet i dzieci: paciorki, lusterka, tanie wstążki i t. p.

Dziki-Kot zdawał się niezmiernie uradowany z otrzymanych podarków; oczy jego przestały strzelać ukośnem wejrzaniem w stronę juczych mułów, ale do odejścia nie zabierał się wcale, choć jak wnosil p. Walery, rozmowa była już ukończoną.

— Wódz *Lakondonów* pragnie ujrzeć *Złotego-Motyła*, o którym słyszał, że w kosy wplecione ma słońce jasne.

— *Luciu!* — zawołał ojciec po francusku — chodź! *Indianin* ciekawy jest widzieć twoje warkocze.

Na głos ojca, zeskokczyła *Lucia* z muła i żywo podbiegła ku miejscu, gdzie ojciec i gromadka siedzących na mułach domowników, rozmawiali z przybyłym.

— Niepotrzebnie zsiadłaś z muła, *Luciu* — przestrzegł ją ojciec, mimowolnym instynktem wiedziony.

— Ojczulku drogi, rada jestem, że się trochę przebiegnę i rozruszam — odparła dziewczynka, a tymczasem *Dziki-Kot*, jakby nie widząc jej zbliżania się odwrócił się ku wodzie i długiem swoim wiosłem przyciągnawszy czółno do brzegu, rzucił w nie otrzymane podarunki.

— Wódz *Lakondonów* pragnął widzieć *Złotego-Motyła*? — z przybraną powagą przemówiła *Lucia*, gdy ją zaledwie parę kroków oddzielało od *Dzkiego-Kota*.

Na dźwięk jej głosu, Indyanin obrócił się nagle, i ujrawszy ją tuż obok siebie, wlepił w nią oczy, z ciekawością, zachwytem, i zdziwieniem, co wszystko razem nadawało jego twarzy tak zabawny wyraz, że Lucia mało co nie parsknęła ze śmiechu.

Włosy, które nosiła zawsze w warkoczach, swobodnie na ramiona puszczone, teraz w czasie podróży mocno miała upięte pod ogromnym, spuszcistym kapeluszem; w biegu jednak osunęły jej się trochę warkocze i niesforny jakiś promień, wysunawszy się ze splotu, łechtał jej szyję i dotykał ramienia, połyskując w słońcu, jak pasmo złotą przędzy.

— Złoty-Motył! Złoty-Motył! — szeptał, jakby sam do siebie Indyanin, i palce, do szponów podobne, wyciągnął ku owemu promieniowi...

Widząc to, odsunęła się Lucia mimowolnie, a jednocześnie p. Ruciński i Benito ruszyli z miejsca, na którym stali dotychczas, ale zanim zdążyli przebyć przestrzeń kilkunastu kroków, dzielącą ich od miejsca, na którym stała Lucia obok wodza, już Indyanin zwinnym i nagłym ruchem pochwyił dziewczynkę, jednym skokiem znalazł się w czółnie i silnie wiosłem odepchnawszy je od brzegu, skierował się ku środkowi rzeki.

Jednocześnie poza plecami jeźdźców, znajdujących się na samym końcu orszaku, na prawo, na lewo, słyszeć się dały głosy jakieś, nawoływujące się: „chachataka! chachataka!” i z za gęstwiny drzew wypadło kilkunastu Indyan, którzy się rzucili na muły, podczas gdy inni usiłowali otoczyć i zrzucić z mułów tak Tadeusza i Józia, jak towarzyszących im współrodaków swoich.

Wszczął się krzyk i zamieszanie, ale tego nie słyszał już p. Ruciński, bo na widok Luci porwanej przez Dzikiego-Kota, jak nieprzytomny zeskoczył z konia i rzucił się do wody, a z nim razem Benito. Obaj puścili się wplaw ku czółnu, które, kierowane silną dłonią porywcy, coraz się więcej oddalało...

Benito znakomitym był pływakiem, p. Ruciński pływał dzielnie, choć teraz ubranie odbierało mu swobodę ruchów, ani jeden wszakże, ani drugi nie mogli doścignąć czółna...

— Moril! Moril! — dał się słyszeć głos Luci, której warkocze owinął sobie wódcę koło ręki, trzymając ją tym sposobem na uwęzi.

I w tejże chwili nad głowami prawie płynących przeskoczył potężnym sussem poczciwy pies, i prześcignawszy ich bez trudności, dopadł niebawem czółna. Nadaremnie Indyanin usiłował zgruchotać mu łapy lub łeb roztrzaskać uderzeniem wiosła, Moril zręcznie unikał ciosów, wspinając się przednimi łapami na czółno, które chwilami przechylało się pod jego ciężarem, grożąc wywróceniem.

— Moril! dobry Moril! bierz go, Moril! — zachęcała psa głosem odważna Lucia...

Zniecierpliwiony Indyanin schylił się, aby porwać psa za płócienny bandaż, dotąd jeszcze szyję jego otaczający i odrzucić go na środek rzeki, ale Moril odgadł zamiary przeciwnika i tak silnie pochwyił go zębami za rękę, że Dzikiego-Kot utracił równowagę, zachwiały się i wypadł z czółna...

Ale z nim razem z przechylnego czółna wypadła Lucia. Rzeka nie była głęboka, Lucia pływać umiała wybornie, należało się wszakże obawiać, że wyczerpana przestra-

chem, nie będzie miała dość sił do przebycia przestrzeni dzielącej ją jeszcze od ojca i Benita. Obawę tę musiał podzielać i Moril, bo puściwszy Dzikiego-Kota, rzucił się ku Luci i schwywszy w zęby jej sukienkę, płynąc z nią począł do brzegu.

Po kilku minutach dopłynął szczęśliwie i wyciągnął na piasek Lucię, która ani na chwilę nie straciwszy przytomności, natychmiast zerwała się na nogi i... znalazła się w objęciu ojca.

— Dziecko moje najdroższe! — przyciskał ją do serca p. Ruciński, podczas gdy Moril, dopominając się o należne mu podziękowanie, skakał do twarzy swoich państwa i poszczekiwał radośnie.

(d. c. n.)

Zagadka homonim.

Dziwny los moim udziałem!
 Kościoła niegdyś książećciem,
 A zwyczajnie w świecie całym,
 Wzgardzonym jestem zwierzęćciem.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

od Jodełki z nad Noteci dla Staszki z Podola.

Z następujących zgłosek: ~~u~~ — ~~a~~ — ~~mi~~ — ~~do~~ — ~~głu~~ — ~~ki~~ — ~~le~~ — ~~lar~~ — ~~ma~~ — ~~szec~~ — ~~ci~~ — ~~ni~~ — ~~nod~~ — ~~le~~ — ~~nek~~ — ~~po~~ — ~~sy~~ — ~~ta~~ — ~~u~~ — ~~yed~~ — ~~pek~~ — ułożyć 7 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół i końcowe w przeciwnym kierunku, utworzą imię i nazwisko znanego bohatera w XVII wieku.

Znaczenie wyrazów: 1. Naród w Afryce. 2. Rzecz darowana. 3. Ptak. 4. Mieszkania pszczoł. 5. Zebranie dostojników Kościoła. 6. Moneta niemiecka. 7. Miasto w Japonii. 8. Człowiek spuszcający się na dno morza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go

Szarady: Przy — go — dy.

Zadania konikowego:

Chcą ciebie ściagnąć na ziemię,
 Nitko z przędzy Matki Boskiej,
 Chcą włożyć na ciebie brzemię
 Walk powszednich, marne troski.
 Ty więc się dalej błękitem
 Ponad nasze smętne wody,
 Ponad biednych ludzi żytem,
 Zwiastunko długiej pogody.

Ujejski.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Konkurs dla młodzieży od lat 11-tu do 15-tu. — Jasełka p. Sewerynę Duchnińską. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Kulig. — Filipopol (drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Konkurs dla dzieci do lat 10-ciu. — Wiewiórki, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.) — Dobry uczynek. — Znalezione jaje p. H. Wernica. — Zuch Fredzio (c. d.) — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.

WIECZORY RODZINNE.

KONKURS

DLA DZIECI DO LAT 11-tu.

Prosimy, aby na konkurs ten każde z dzieci, nadsyłających nam wypracowanie, opisało jakiś:

Dowód zmyślności zwierzęcia domowego, lub fakt świadczący o przywiązaniu tegoż zwierzęcia do osób, któremi jest otoczone.

Za konieczny wszakże warunek uważamy, aby opisane nam wypadki były osobiście zauważone przez pi-

że nie zawsze w ogrodzie są jabłka, czereśnie,
I nie zawsze też w lesie są świeże orzechy,
Trzeba więc jąć się pracy, wszak prawda, siostrzyce?"
Wiewiórki po namyśle rzuciły uciechy;
Że zaś każda ma zębki o tre jak nożyce,
Dalejże ścinać jabłka, znosić do kryjówki.
Za jabłkami orzechy, bukowe nasiona
Chować skrzętnie do dziupli i robić zasuwki,
Aby nie zmarzła w zimie żywność zgromadzona.
Potem zaś, gdy nadeszły i śniegi i chłody,
Żadna nie czuła głodu wśród swego zapasu;



Wiewiórki.

szących, lub przynajmniej tyczyły się zwierząt osobiście im znanych.

Najlepsze wypracowanie otrzyma w nagrodę powieść Anastazyi Dzieduszyckiej pod tytułem: „**Jak sobie dziatwa radziła**” za następne zaś cztery lepsze wypracowania dane zostaną jako nagrody, 2-go stopnia, inne odpowiednio książki.

Oprócz pseudonimu, wymienić należy jak zwykle imię, nazwisko, lata, oraz dokładny adres piszących.

Termin ostateczny nadsyłania wypracowań oznacza się na ostatni dzień marca.

Redakcja.

WIEWIÓRKI.

Gdy w jesieni owoce były już dojrzałe,
Wiewiórki się zebrały na wielką naradę,
Były tam stare, młode, i płoche, i małe.
Jedna rzekła: „Siostrzyczki, mamy wielką wadę,
Że lubimy wciąż skakać, bawić się przyjemnie,
Lecz o zimie z nas żadna nie pomyśli wcześniej.
Przyjmijcież tę przestrożę, siostrzyczki, odemnie,

Dodatek do N. 6, 1891 r.

Zjadła smaczny orzeszek, napiła się wody,
Nie szła żebrać do ludzi, lecz żyła wśród lasu.
A ptaszki, patrząc na to, tak mówiły sobie:
„Niechaj-no przyjdzie jesień, ja tak samo zrobię,
Nie będziemy mieć głodu pośród srogiej zimy,
Bo jako te wiewiórki, my tak uczynimy.

Pamiętajcież, dziateczki, pamiętajcie o tem,
Czego dziś się uczycie, zda wam się na potem.

Z. Morawska.

DOBRY UCZYNEK.

Jasny promień słońca pierwszy powitał małą Tolę
w dzień jej urodzin, gdy tylko otworzyła oczki. Nieza-
długo weszła mama i ucałowała ją serdeczniej jeszcze
niż zwykle. Tola kończyła dzisiaj lat sześć, a mama,
chcąc jej w dniu tym zrobić przyjemność, obiecała, że
pojadą razem do miasta, do ładnego sklepu z zabawkami,
aby sobie sama kupiła coś, za rubla, którego jej ta-
ta ofiarował na wiązanie. Wypiwszy śniadanie bardzo

ZNALEZIONE JAJE.

prędko były w drodze do omnibusu, który miał je zawieść przed sklep z zabawkami.

Dojechawszy na miejsce, wysiadły razem z drugimi i przechodząc przez ulicę, ujrzały małego chłopca, który siedząc na ziemi obok stojącego pudełka wołał głośno: „sztuka dwadzieścia groszy, kto kupi, kto kupi?” Tola podeszła z mamą bliżej, aby zobaczyć, co on też sprzedaje? Pudełko było bez wierzchu, zasłonięte tylko gęstą siatką, zrobioną z powiązanych starych sznurków, a w pośrodku pełno ptaszków, którym było tak ciasno, że jeden uciskał drugiego.

Tola w jednej chwili zapomniała o zabawkach i z oczkami łez pełnemi, zawołała zwracając się do mamy.

— O, pozwól mamusiu, abym je kupiła i puściła na wolność.

Mama skinęła zezwalająco i za chwilę Tola wracała do domu, a za nią szedł chłopiec z biednymi ptaszętami. Tola chciała być w domu i w ogrodzie jak najprędzej, ażeby uradować wolnością małych więźniów. Przyszedłszy tam wreszcie, sama przecinała gruby sznurek, który je więził; gdy skończyła, przez chwilę ptaszki się nie poruszały, jakby straciły ochotę do ucieczki, lub jakby im sił zabrakło. Ale jeden z nich, widocznie najodważniejszy, wyfrunął i zaświergotał radośnie, oznajmiając dobrą nowinę przyjacielom. Zachęczone widocznie jego przykładem, poruszyły się wszystkie i głośno trzepocąc skrzydełkami, gromadnie opuściły klatkę, lecąc na pobliskie drzewa. Tola patrzyła na nie radośnie i zdawało jej się, że słyszy dziękczynną nutę w ich piosence. Musiało też tak być w istocie jak myślała, bo przecież ptaszki słyszały, że to ona je kupiła od chłopca i wypuściła na wolność.

Spojrawszy wszakże na dno pudełka, spostrzegła tam jeszcze jednego ptaszka. Zdziwiona tem mocno, wzięła go delikatnie w rączki i poszła pokazać mamie, która obejrawszy, przekonała się, że ma jedno skrzydełko uszkodzone i fruwać nie może. Tola usłała mu ciepłe gniazdeczko z waty i włóczki i miała o nim ciągłe staranie, dopóki się zupełnie nie wyleczył. Wtedy wyniosła go do ogrodu, i posadziła na trawie, myśląc że i on także z wolności skorzysta, ale ptaszek fruwał wprawdzie, lecz niedaleko, i gdy Tola weszła do pokoju, on podążył za nią przez okno, a tak patrzył w oczki Toli, usiadłszy jej na ramieniu, jakby jej chciał powiedzieć: „dobrą byłeś dla mnie, chcę przy tobie pozostać.”

Pozostał więc, a tata kupił ładną klatkę i zawiesił ją przy oknie w pokoiku Toli. Drzwi klatki są zawsze otwarte, ptaszek ma zupełną swobodę, codzień raniutko budzi Tolę, siadając na krawędzi jej łóżka i wyśpiewuje na całe gardziółko.

Dobry uczynek Toli spełniony względem ptaszków, nie na tem tylko się zakończył. Chłopiec, od którego były kupione, widząc jak się radowały bujając swobodnie, powiedział, że ich już więcej łapać nie będzie. Dotrzymał słowa, a ojciec Toli przyjął go do siebie na ogrodnika. Teraz wyrasta na porządnego człowieka, zarabiając na swe utrzymanie pracą, nie zaś jak przedtem, łapaniem biednych ptaszek.

M. Ch.

Pewnego razu Józia znalazła na podwórzu świeże jajko. Uradowana pobiegła do matki i zawołała:

— Patrz mateczko, jakie to ładne jajko.

— Zapewne jest ono własnością Marcinowej — odrzekła matka — której kokoszka z sąsiedniego podwórka przez płot tu przychodzi. Ona to prawdopodobnie zniosła jajko pod schodami. Idź więc, odnieś je.

Marcinowa, otrzymawszy jajko, rzekła:

— Jesteś bardzo dobrą i grzeczną dziewczynką, że zwracasz nawet taką drobnostką, gdy ta do ciebie nie należy; przyjmij odemnie to jajeczko, ale pozostaw je jeszcze umnie, podłożę je kokoszce, a w zamian za nie będziesz miała z czasem kurkę.

Jakaż była radość dziewczynki, gdy po upływie trzech tygodni, Marcinowa przyniosła jej ładne, żółciutkie kurczątko, dla którego w dodatku dawała jej co parę dni garstkę ziarna!

Po upływie pewnego czasu, z tej jednej kurki, Józia miała całe stadko małych kurczątek.

H. Wernic.

ZUCH FREDZIO.

(Dokończenie).

— Aha—pomyślał Julek—to pewnie panicz się znów boi, jak tych psów na łańcuchu — a głośno dodał: — Fredziu, chodź na lód, wujek pozwolił, będę cię prowadził, jak gdybyś był panienką.

— Przepraszam cię — rzekła Kazia, starsza siostrzyczka Julka — jestem panienką, a nikt mię nie prowadzi, przecież to ja nawet byłam twoją nauczycielką.

— Dla tego też taki ze mnie znakomity łyżwiarz, znać, że mię uczyła artystka.

— To mnie należy się sława — odezwała się z powagą Micia, najstarsza z rodzeństwa — bo ja znów uczyłam Kazię.

Tymczasem Adaś, nie biorąc udziału w rozmowie, ślizgał się na swoją rękę, wymachując rączkami dla równowagi gdy Micia stanęła na lodzie, ujęła malca i puściła się z nim ostrożnie, ostrzegając na skręcie, lecz kazała rączkę schować za paltocik, bo powiedziała, że Adaś nie wiatraczek.

Julek nie mogąc namówić Fredzia, puścił się w wody z Kazią, a i wujaszek brał czynny udział w zabawie, bo jeszcze był młody i lubił przewodzić dziatwie.

Na brzegu został więc sam tylko Fredzio, tak zawstydzony, że aż mu łyzy drżały pod powiekami.

Gdy po powrocie do domu, dziatwa zarumieniona opowiadała rozmaite przygody, chłopczyk milczał, bo nie miał co powiedzieć, aż ciocia zapytała:

— Cóż ty Fredziu tak cicho siedzisz, czy ci się nic zajmującego nie przytrafiło?

Mici bardzo się żał zrobiło chłopczyka, bo widziała, że się zarumienił, wyręczyła go w odpowiedzi, i zaczęła mówić o czem innym.

A po herbacie wzięła go za rączkę, usiadła z nim na małej kanapce, i coś mu długo, długo opowiadała. Z początku Fredzio potrząsał głową przecząco, potem się zaczął uśmiechać, a w końcu pochwyił Micię za szyję, i serdecznie ucałował.

Na drugi dzień rano, zaraz po śniadaniu, zaszły duże sanie, i dziatwa wybierała się na przejażdżkę, wujek sam miał powozić, a mamusie pozostały w domu, bo właśnie ciasta piec miano.

— A cóż ty, Fredziu, pojedziesz?—zapytał ojciec—konie dziś w wyśmienitym humorze, myślę, że mknąć będą jak strzała.

— Pojadę, tatusiu — odpowiedział chłopczyk, spoglądając na Micię, a równocześnie rzucił okiem w okno, aby się przekonać o humorze koni.

Dzielne karosze wyrzucały śnieg kopytami, parskaly raźnie, jakby chciały jaknajprędzej iść w drogę.

Fredzio siedział w środku między Kazią i Micią, która mu ciągle opowiadała coś ciekawego, a choć wyglądał co moment na konie, czy czasem nie rozbiegają się lub w rów nie ściągną, ale jakoś powstrzymał się od wyjawienia swęj obawy.

Po powrocie do domu, gdy dzieci rozgrzały się i posiliły, Micia szepnęła coś do uszka Fredziowi i oboje niepostrzeżenie wyszli z pokoju.

Łatwo się domyśleć, że poszli na kanał, a Micia z całą cierpliwością zabrała się do nauki nowego ucznia, z którym doprawdy niełatwa była sprawa. Gdy po kilku próbach, przymocowała mu łyżwy Julka, które wzięła z sobą, Fredzio ani chciał ruszyć z miejsca. Ale Micia nie zrażała się łatwo, i dostawszy raz Fredzia na lód, nie zwolniła, aż go przekonała, że przy ostrożności i umiejętnem kierowaniu sobą, niekoniecznie trzeba rozbić głowę i połamać nogi.

Nauka trwała w sekrecie parę razy dziennie, i Fredzio na Nowy Rok miał rodzicom wyprawić niespodziankę, łyżwując sam po lodzie.

Teraz ze strachem rano spoglądał, czy aby deszcz nie pada, bo już się nie bał, i coraz więcej był odważny i śmiały.

Ale mróz jakoś dopomagał dobrym zamiarom Fredzia i sprzyjał pracy Mici, bo nie myślał wcale ginąć, ale trwał w mierze.

W dzień Nowego Roku, gdy wszyscy wrócili z kościoła i zjedli obiad, Micia prosiła, aby rodzice jedni i drudzy, poszli do ogrodu nad kanałek.

Zgodzono się chętnie na prośbę dziewczynki i całe towarzystwo udało się do ogrodu.

Gdy młodzież zaczęła przypinać łyżwy, Micia rzekła do Julka:

— Pożycz, Julku, swych łyżew Fredziowi, mam ochotę ścigać się z nim trochę.

— Co? — zapytał zdziwiony ojciec Fredzia—chcesz się ścigać z Fredziem? ej, panienko, nie żartuj z mego synka.

— Ja, wujaszku, wcale nie żartuję—rzekła Micia—zobaczą państwo zaraz, że mówię prawdę.

— A, kiedy tak — zawołał Julek — to dawaj, bra-ciszku, nogi, ja sam przypnę ci łyżwy.

Fredzio nic nie mówił, oczęta mu się śmiały, a bu-zia rumieniła radością.

Raz, dwa, trzy, i oto sunął z Micią po lodzie, a choć nie było to jeszcze zupełnie dobrze, ale już ręki nie podnosił do góry, jak to czynił z początku, i ani razu nie krzyknął, że się zabije na mójacu.

— Zuch Fredzio! — zawołał ojciec Mici — zuch, bo potrafił się przewyciężyć i zawojował tchórza, który go chciał opanować.

— A toś mnie ucieszył, synku — rzekł ojciec — widzę, że nie będę się wstydził za ciebie.

— To Micia, Tatusiu, taka dobra, napracowała się ze mną niemało — rzekł chłopczyk, z wdzięcznością spoglądając na siostrzyczkę.

Rodzice Fredzia uściskali Micię serdecznie, a ona nie przypisując sobie żadnej zasługi, rzekła:

— Ach, gdyby Fredzio nie chciał być zrobić rodzicom niespodzianki, nicby tu moja praca nie pomogła.

I odtąd Fredzio się odmienił zupełnie, a gdy wieczorem siedzieli wszyscy przy herbacie, a ojciec obejrzał się za papierosami, Fredzio zerwał się z krzeselka, i nie namyślając się ani chwili, pobiegł do gabinetu ojca, choć, coprawda, serduszko mu trochę biło, ale przyniósł papierośnicę, i położył przed tatusiem na stole.

— Sam to przyniosłeś? — zapytał tatuś.

— Sam — odpowiedział Fredzio — rumieniąc się nieco.

Ojciec przycisnął go do piersi, pocałował w czoło i rzekł wesoło:

— Mam teraz syna, bo dotąd miałem tylko dzieciątko małe. Dobrze, mój chłopcze, kontent jestem z ciebie.

Ta pochwała napełniła radością serduszko Fredzia, i odtąd codzień starał się przewyciężyć jakąś słabostkę, aby w przyszłości stać się prawdziwym mężczyzną, chlubą rodziców i pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Bronisława Porawska.

Zagadka homonim.

Dotkliwego uderzenia
Nazwą jestem, i kamienia.

ŁAMIGŁÓWKA.

ułożył Pegaz.

Ułożyć wyraz pięciozłoskowy; oznaczający nazwę narzędzia rolniczego, z któregooby przez kolejne ujmowanie liter z lewej strony, można było utworzyć następujące jeszcze wyrazy:

- * * * * * Wyraz użyty za zadanie.
- * * * * * Stacya kolei Warsz.-Wied.
- * * * * * Zaimek osobisty.
- * * * * * Przyimek.
- * * * * * Samogłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Zagadki homonimu: S a n n a.

Zadania arytmetycznego.

Jeden talerz sprzedawano po 32 kop.

Skrzynka do listów.

Panu W. Kosińs... w **Hałcie**. Tablice poglądowe wedle naszego rozumienia są bardzo pożyteczne dla małych dzieci. Dzieło, o którym mowa ma swoje zalety pod względem pedagogicznym, czy się zaś równa drugiemu wspomnianemu w liście, to już zależy od osobistych każdego na jedno i drugie poglądów.

Sosence. Zwykle pierwiosnki brunatnieją po zasuszeniu; zielenienie jest wypadkiem wyjątkowym. Przyczyną zaś zmiany barw w ogóle, jest rozkład barwników właściwych roślinom na inne, a to w skutek braku dostępu powietrza, zbyt silnego ciśnienia czyli sprasowania, niedość nasiąkłej bibuły użytej do suszenia, wreszcie zerwania roślin w dzień słotny lub wilgotny. Wystrzeganie się więc tych wszystkich wypadków zapewnia możliwie dobre zachowanie barw, o ile nie są to rośliny o bardzo delikatnych kolorach, które już taką mają własność, że się bezwarunkowo zmieniają.

Figlarce nie możemy dać stanowczej odpowiedzi na niewidziane. Musielibyśmy pierwiej przeczytać jej pracę; ostrzegamy wszakże, iż zbyt wczesne rwanie się do pióra szkodzi rzeczywistym nawet zdolnościom.

Rękopis **Wróźbiarki szczęścia** odebraliśmy zapóźno.

Uczynimy zadość życzeniu **Semtki**, zarówno jak i **Szan. Pani Saw. z L.** Opóźnienie w przesyłaniu numerów nie pochodzi z naszej winy.

Cyganecka z nad Warty także otrzyma, o co prosi; my wszakże ją prosimy o umieszczenie łamigłówek na *innej* kartce, niż na tej, na której mieści się liścik do nas. Łamigłówki oddawać trzeba do drukarni, liściki zaś do nas wyłącznie należą.

Konik z nad morza Czarnego i Wróbel szary niech będą spokojni. Pisemko nasze będzie ich nadal dochodziło regularnie. Numer żądany wyślemy.

Dziadunio bardzo ładne wynalazł przezwisko! Wyobrażamy sobie, jaki to niewielki, gadatliwy i kręcicki, milusiński musi być ów „**Cipcik**”, którego ciekawość zaspokoimy.

Niezabudka z nad Chomoru oraz **Leszek Biały** nadesłali dobre rozwiązanie. Nie, pseudonimu „**Silacz**” nie używa nikt inny. Łamigłówka nie jest dobrze ułożona: zamiast napisać po prostu „samogłoska i spółgłoska” należało wyszukać wyraz zaczynający się i kończący na odpowiednie głoski. Prosimy **Silacza** o przeczytanie tego, co piszemy do **Cyganeckiej z nad Warty**.

Jakże by się nie znalazło miejsce na odpowiedź? dla **Jodetki z nad Noteci**, tak serdecznie odzywającej się do nas. Liścik pójdzie w swoim czasie do druku.

Pokazuje się, że niema złego, coby na dobre nie wyszło! Tak na przykład wychodzi nam na dobre złe, chwilowo trapiące *Euterpe*, bo gdyby nie jej tęsknota za *Ismeną*, nie prędko by się może zebrała napisać do nas. A jakie ładne pismo na swoje lat 10 ma *Euterpa*! Bardzo też trafne jest twoje wyrażenie, że zajmująca cię powieść jest to „bajka, prawdą przeplatana”.

Bystry koń dobrze odgadł łamigłówkę, ale rebus i łamigłówka kryształowa źle są ułożone. Przyćtem prosimy wziąć pod uwagę słowa nasze do **Cyganeckiej z nad Warty**.

Stokrotce z nad Stochodu dziękujemy za pamięć o ubogich oraz za przesłane nam życzenia. Adres zmienimy podług żądania;

całym sercem pochwalamy chęć zapoznania się wcześniej z gospodarstwem, którego umiejętne prowadzenie należy do najbliższych obowiązków kobiety.

Wan. F. nadesłała dobre rozwiązanie.

Kujawianka, z którą miło jest nam zabrać znajomość, uczy się bardzo wiele na swoje lat 9. To całe szczęście, że jak nam pisze, „najlepiej lubi taniec i ślizgawkę”. Widocznie mimo tylu lekcyj, ma czas i na zabawę.

Rs. trzy od Piotrusia Żur. otrzymaliśmy i pisemko nasze wysłać będziemy pod wskazanym adresem.

Ponsowa Róża nie przysłała nam swego adresu, nie możemy więc posłać jej żądanego początku powieści. Zawiązanie korespondencji jest rzeczą bardzo prostą: należy przysłać liścik do nas, a my go wydrukujemy, gdy nań przyjdzie kolej.

W łamigłówce **Nieśmiałej** znajduje się wiele niedokładnych wyrażań, które sprostować by można; ale wybór wyrazu... niewłaściwy.

Szan. P. J. Kr. Serdecznie nam żal biednej **Polki z nad Szczary**, mamy nadzieję, że w chorobie jej niema nic, coby **Sz. Panią** trwożyło mogło. Pismo nasze wysłać będziemy.

Łyżwiarzowi z nad Teterowa przesyłamy żądane numera; łamigłówka dobrze ułożona, nie wiemy wszakże, czy drukowaną będzie. Odsyłamy do odpowiedzi daną **Cyganeckę z nad Warty**.

P. Radczyni Sobesk. w Fr. Wieczory pod wskazanym adresem po odebraniu listu wysłałyśmy.

Czemu do mnie nie piszesz, **Błędny Ogniku**? kiedyż **Marszałkowa** się odezwie i czemu do nas nie przyjeżdża? Dziękuję ci **Barwinku** za liścik i proszę pisuj do mnie częściej. Nie wiem jak cię przeprosić, **Symfonio** droga, że ci nie odpisałam. Pewnie do nas przyjedziesz; **Gwiazdko Polarna**, nie masz pojęcia, jak się na to cieszę, szkoda tylko, że nie będzie z nami **Królowej Wrózek!** Ściskam was wszystkich serdecznie. *Gwiazdka Nadziei*.

Droga Figlarko! Bardzo mi się podobał twój pseudonym; napisz, jak ci na imię, ile masz lat, gdzie mieszkasz i co ci się w **Wieczorach** podoba? Czy należysz do konkursu? Przesyłam ci trylion całusów i proszę o liścik. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana Andziu W. w Warszawie. Proszę cię obierz sobie pseudonym i korespondujmy z sobą. Znamy się dobrze z **Ż.** Zgadnij więc, kto jestem. Proszę o prędką odpowiedź. Ucałuj rączki twojej mamie. Przyjmij również serdecznego całusa od twojej przyjaciółki **Góralki**.

Kochany Marynarzu! Czemu teraz nie piszesz do **Wieczorów**? Jaka powieść najlepiej ci się podoba, bo mnie w „**Indyach**” *Napoleon I.*

Przepraszam was stokrotnie, drogie siostrzyczki, za tak spóźnioną odpowiedź; wysłałam bowiem już dawno liścik do was. Zgadłaś, kochany **Poranku** nazywałam, się pierwiej **Rusałką z D.** Co teraz porabiasz? **Cicha Wodo**, **Biała Ostróżko**, **Różycko Biała**, donieście mi, moje drogie, w jakim jesteście wieku? czy się uczycie? i ile macie rodzeństwa? W przyszłym liściku doniosę wam więcej szczegółów o sobie. Nie gniewajcie się na mnie, nie przerywajcie korespondencji i przyjmijcie uściśnienia od kochającej was. *Maryni Kopciuszka*.

Kochana Biała Ostróżko! Lubię białe Ostróżki, chciałabym więc zapoznać się z tobą przez nasze kochane **Wieczory**. Z liściku twojego do **Pomarańczarki** dowiedziałam się że jesteś 12 letnią blondynką o niebieskich oczach, ja mam 12-sty rok ale jestem brunetką. Jak ci na imię, **Ostróżko** miła, gdzie się uczysz, i czy masz rodzeństwo? Ja mieszkam na wsi, mam brata starszego i młodszą siostrzyczkę, uczymy się wszyscy w domu, bardzo nam też wesoło bo po skończonej pracy bawimy się wybornie. Co ci się najwięcej podoba w **Wieczorach**? mnie „**Pod wpływem błogosławieństwa**” i „**Szesnaoletni wojewoda**”. Oczekuję odpowiedzi wkrótce i przesyłam ci uściśnienia. *Jutrzenka*.